

Jest to tekst referatu, który wygłosiłem na Polsko - Południowo Afrykańskiej Konferencji o pojednaniu, zorganizowanej w roku 2004 przez Instytut Polski w Paryżu

DYKTATURA I PAMIĘĆ.

Nie znam historii Afryki Południowej ostatnich 10 lat, tak bym mógł robić porównania z Polską. Ale jedno chyba mogę powiedzieć. To mianowicie, że podział społeczny, który wprowadziła w Polsce dyktatura komunistyczna był, poza jej pierwszym zbrodniczym okresem, bez wątpienia łagodniejszy od tego, który ustanawiał system apartheidu. I był inny – istniała indywidualna swoboda wyboru do której strony chce się należeć. Teraz opowiem o nim. Najpierw skąd się wziął, a potem jakie zostawił ślady po roku 1989.

CZEŚĆ PIERWSZA: Geneza podziału na „My” i „Oni”

Po drugiej wojnie światowej Polska została państwem satelickim Związku Radzieckiego. Nikt nie mógł temu zapobiec, ani tego odwrócić przez 45 lat. Naród bez formalnej zgody, ale z bierną akceptacją zachodnich sojuszników Polski USA i Wielkiej Brytanii, uwięziono w „socjalistycznym obozie”. Podobnie jak wiele innych narodów Europy Centralnej. Przegraliśmy wojnę należąc i walcząc w zwycięskim obozie. Polacy nie chcieli ustroju, który został

zaprowadzony. Nie dotyczyło to komunistów, członków Komunistycznej Partii Polski, niemal wymordowanej przez Stalina. Mimo tego w Armii Czerwonej widzieli szansę, na spełnienie marzeń. Marzyli o nowej Polski, w braterstwie ze Stalinem. Było ich niewielu. Naród nie miał wyjścia, musiał trwać. Wprowadzenie komunistycznej dyktatury rozdarło go, na mniejszość, która rządziła i na poddaną jej resztę.

Państwo komunistyczne, wszechobejmujące wspierało się na wielkim aparacie administracyjnym i represyjnym oraz na masowej partii (PZPR), partiach satelickich i organizacjach, będących tak zwanymi transmisjami partii do mas. Te upartyjnione masy, aparat państwowy i aparaty partii oraz organizacji - transmisji tworzyły liczną warstwę rządzącą, zwaną nomenklaturą, która - łącznie z rodzinami - obejmowała 10 – 15 % społeczeństwa. Tylko część o czymś decydowała, ale wszyscy stanowili bazę ustroju. Nie odpowiada prawdzie taki obraz podziału politycznego w PRL, że po jednej stronie była garstka komunistów zakochanych w ZSRR, a po drugiej naród opierający się prześladowcom. Temu obrazowi mogła odpowiadać sytuacja przez kilka miesięcy po wejściu Armii Czerwonej do Polski. Ale ona szybko się zmieniała, przez dobrowolne

wstępowanie setek tysięcy Polaków do partii i organizacji, także do organów represji. Komunistyczna garstka obrastała częścią narodu, który z różnych motywów decydował się dołączyć do tych, co mieli rządzić. Bardzo ważnym motywem było rozgoryczenie i wściekłość na zachodnich aliantów. Ale były też inne motywy; pragnienie by odbudować kraj i życie osobiste, uwierzenie w socjalizm, przez część inteligencji, czy młodzież z niskich warstw społecznych. Był motyw karierowiczostwa i strachu (to były czasy wielkiego terroru, przez 6 lat - 44-49 - zapadały średnio dwa wyroki śmierci dziennie, a tylko w latach 1945 – 46 z powodów politycznych aresztowano 100 tys. osób). Kiedy to się stało po obu stronach znalazł się naród postawiony naprzeciw siebie przez logikę sytuacji. Przez całą historię PRL mniejszość siłą dominowała nad większością. Podstawową cechą ich stosunków była nieufność, a jej wyrazem ludowy podział na „my” i „oni”. Stosunki między nimi układały się różnie. Był, nakazany z Moskwy, ale wykonywany polskimi rękami, często gorliwie, czas prześladowań i zbrodni popełnianych przez jedną stronę i nienawiści z strony drugiej. Były bunty i bitwy, ale była i chwila zbliżenia podczas destalinizacji w roku 1956 i tolerowanie, raz mniej nieufne, a raz bardziej. Życie nie dało się wcisnąć w schemat zdrajców i patriotów

już choćby przez to, że PRL istniała prawie pół wieku, w świecie, który wydawał się ustabilizowany na cały wiek.

Polacy nie widząc wyjścia wrastali w narzucony system, znajdowali w nim swoje miejsca, nawet nie należąc do nomenklatury, przesiąkali nim, ale i nasycali go swoimi cechami, „polonizowali” komunizm. Reżim też się zmieniał. Brutalny, zbrodniczy do śmierci Stalina, potem łagodniał, z dwoma przymrozkami; w roku 1968 po stłumionych studenckich protestach i w pierwszych latach po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 roku. Wyglądało, jakby się poprawiał, a on łagodniał ze starości i umierał. W końcu, nie wytrzymał naprawy podjętej przez Gorbaczowa i umarł, bez wielkich wstrząsów, a u nas w następstwie porozumienia części rządzącej elity, z częścią opozycji przy Okrągłym Stole i wyborów 4 czerwca 1989 roku, w którym strona rządząca doznała druzgocącej porażki.

W wyniku tych wydarzeń powstał rząd złożony w większości z przedstawicieli ruchu „Solidarności”. Potem przyszły trzy rządy bez udziału ministrów z dawnego obozu rządzącego. W ten sposób nomenklaturę pozbawiono władzy, także dlatego, że wymieniono większość wyższego aparatu urzędniczego, a większość instytucji dawnego ustroju, w tym instytucje represji politycznej rozwiązano (SB,

ORMO, ZOMO).

Część dawnej warstwy rządzącej zorganizowała się w partię; socjaldemokratyczną i chłopską, o ideowo innym obliczu niż ich protoplastki, niemające intencji powrotu do dawnego systemu, choć, szczególnie, gdy chodzi o socjaldemokratów oparte o wyborcę z dawnej elity. Objęły one władzę po wyborach 1993 roku mając demokratyczny mandat do jej sprawowania. Polska należała, więc, do tych krajów, w których upadkowi ustroju towarzyszyło odsunięcie od władzy nomenklatury, a nie do krajów, w których nastąpiło jej przepoczwarzenie się przy pozostaniu u władzy (Rosja, Ukraina.).

Nie było natomiast w Polsce „dekomunizacji”, rozumianej, jako nadzwyczajny akt zakazujący części dawniej rządzących zajmowania stanowisk państwowych. Stało się tak dlatego, że u nas systemu upadł w wyniku porozumienia części elity komunistycznej i opozycyjnej, i dlatego, że władzę przejęła ta część opozycji, która do porozumienia doprowadziła. Nie amnestionując zbrodni popełnionych w Polsce Ludowej uważała ona za niepotrzebne i niewłaściwe wprowadzanie instrumentu odpowiedzialności zbiorowej.

CZEŚĆ DRUGA My i Oni po roku 1989.

Ustrój upadł, ale ślady rozdarcia, które spowodował i żywił przez

pół wieku pozostały po obu jego stronach, choć po każdej w nieco inne konfiguracji. Gdy chodzi o „Ich”, o rządzącą kiedyś mniejszość, która historycznie przegrała, to nastroje wrogości wobec wszystkiego co wyrosło z dawnej opozycji antykomunistycznej i „Solidarności” są mocne i bardzo rozpowszechnione, obejmujące znaczną część tej mniejszości, nie tylko jej odłami politycznie aktywnymi.

Gdy chodzi o większość, którą nazywaliśmy „My” to wrogość do ludzi z dawnej nomenklatury przygasła, nie decyduje ona o zachowaniach. W wyborach 2001 roku „postkomuniści” byli blisko zdobycia absolutnej większości w Parlamencie. To dawne uczucie ożywa, gdy lewica źle rządzi. Natomiast wśród politycznie aktywnej części tej strony dawnego podziału są dwie postawy. Elektorat i partie centrowe, dekomunizacji nie postulują. Ale uważają, że z „postkomunistami” nie wolno wchodzić w koalicje rządowe, choćby była zbieżność programowa, właśnie z powodu ich nomenklaturowej genezy. Wśród partii prawicy i jej elektoratu pragnienie wymierzenia, zaniechanej, jak mówią, „sprawiedliwości” dawnej elicie władzy, jest bardzo silne.

Jego ideowym wsparciem jest teza, że u początku transformacji leży „grzech”, polegający na zaniechaniu rozliczenia komunistów.

Wedle wyznawców tego poglądu, doszło do tajemnej ugody nomenklatury i części opozycji, w wyniku, której powstać miał, trwający do dziś, zakamuflowany niemal zorganizowany w skali całego kraju układ rządzący Polską i korzystający z jej zasobów, podczas, gdy cała demokratyczna reszta zamieniona została w fasadę. Brak dekomunizacji i rozliczenia, czyli aktu mającego pokazać społeczeństwu, że oto zło zostaje wskazane i ukarane miał spowodować rozmycie się w świadomości społecznej kategorii dobra i zła. Przez to zaś przyczynił się on do demoralizacji społeczeństwa i władzy, czego wyrazem jest korupcja i inne dzisiejsze plagi w Polsce. Argument o złych moralnych skutkach rezygnacji ze zbiorowego rozliczenia podziela też część intelektualistów, także nie związanych z prawicą.

Moim zdaniem ta teoria nie daje się ani dowieść, ani obalić i niewiele wyjaśnia. Poza moralizatorskimi spekulacjami, nie dostarczono przez 15 lat dowodów, które by wskazywały, że jest związek między brakiem zbiorowych rozliczeń, a tymi zjawiskami, które uważa się za skutek takiego braku. Może on i jest, ale więcej argumentów wskazuje, że go nie ma, albo jest mało ważny w sytuacji krajów odchodzących od komunizmu. W krajach, gdzie dekomunizację

polegającą na politycznej banicji części dawnej warstwy rządzącej zrobiono, prawdziwi komuniści zachowali silną pozycję polityczną (Czechy i NRD), podczas, gdy w Polsce ich nie ma. Nie ma też istotnych różnic między Polską i krajami „zdekomunizowanymi”, gdy chodzi o skalę patologii, a także pod względem umoszczenia się w nowym systemie ludzi dawnej nomenklatury. Wszędzie się umościли, korzystając z awantazy wyrosłych na dawnej pozycji. To naturalne. Nawet w rewolucjach bardzo krwawych nie można zerwać ciągłości tkanki życia, powiązań i solidarności grupowych, a także grupowych przewag związanych z uprzywilejowaną pozycją w społeczeństwie przedrewolucyjnym. Chyba, że wprowadzi się terror trwający dziesięciolecia, jak w stalinowskiej Rosji, który fizycznie likwiduje kolejne pokolenia wcześniej uprzywilejowanych warstw.

Gdy zaś chodzi o nasilenie patologii w krajach przechodzących transformację, to są powody bardziej przyziemne, mniej mistyczne niż brak symbolicznego rozdzielenia zła od dobra, za to na pewno silniej kształtujące postawy masowe. Powodem najbardziej fundamentalnym jest zderzenie z cywilizacją konsumpcyjną, nagłe wejście w jej świat, społeczeństw wyposzczonych i zdemoralizowanych, przez komunizm oraz jego ekonomię niedoborów. Skutkiem tego stał się niezwykle

awans pieniądza, jako klucza dostępu do jej nieograniczonych uroków, czy zabezpieczenia przed niemal tak samo nieograniczoną nędzą. W rezultacie nastąpiło osłabienie i tak już słabych, hamulców etycznych w zdobywaniu pieniądza, które dotknęło wszystkie grupy społeczne, nie tylko polityków. Inna przyczyna to typowa dla okresów wielkich przemian niewydolność państwa, zwykle poddawanego w takich czasach gruntownej przebudowie, czy, jak w przypadku krajów pokomunistycznych tworzonego w dużym stopniu od nowa. Wreszcie pojawienie się licznych okazji do przestępczego przechwytywania państwowych aktywów w toku prywatyzacji gospodarki niemal całkowicie upaństwowionej. To są główne, uniwersalne przyczyny „transformacyjnych patologii”, także tych w świecie polityki. Mieszają się z nimi osobliwości poszczególnych krajów, będące dziedzictwem historii, które owe patologie mogą zaostrzać lub osłabiać, ale ich nie eliminują. Nie wykluczam, że Polska jest, nie wiele, lecz nieco bardziej skorumpowana niż na przykład Czechy, Węgry, czy Niemcy Wschodnie, ale nie przez brak dekomunizacji tylko dlatego, że jesteśmy społeczeństwem mniej niż w tamtych krajach mieszczańskim, bardziej wschodnim, i w ogóle mniej „normalnym” przez kilka wieków obcych dominacji i braku własnego państwa.

Podsumowanie.

W kraju wychodzącym z dziesiątków lat dyktatury utrzymuje się długo „rów” dzielący tych, którzy należeli do establishmentu dyktatury, lub na niej korzystali i tych, którzy byli jej poddani. Podział ten źle wpływa na życie polityczne. Utrudnia powstawanie większości parlamentarnych, rządów, i polityk odpowiadających potrzebom dzisiejszym. W Polsce nadal nie jest możliwa koalicja w poprzek linii dawnego podziału, choćby partie mówiły podobnym językiem o problemach obecnych. To sprzyja powstawaniu koalicji programowo niespójnych, za to złożonych „ze swoich”, a w każdym razie „bez nich”. „Egzotyczność programowa koalicji”, podważa ich trwałość i sprawność rządzenia. Przy utrzymywaniu się starych wrogości trudno jest ukształtować fachowy korpus administracji, bo wrogie sobie siły polityczne potrzebują administracji nie tyle fachowej, co uległej, dyspozycyjnej, także do walki z wrogami. W takim kraju wreszcie, szczególnie ryzykowne są sytuacje, gdy sympatie wyborcy za bardzo przechylają się ku partiom po jednej, czy po drugiej stronie dawnej wojny, bo ożywiają natychmiast pragnienia rozprawy ze starymi wrogami i ich dziedzicami. Dlatego bardzo ważne jest istnienie silnego centrum politycznego, wzmacniającego stabilność i rolę czynnika

kompromisu kosztem czynnika konfrontacji. I oczywiście ważne jest wszystko co stare „transzeje” zasypuje, tak by dojść do chwili w której wyobrażalne staje się, w razie potrzeby, rządzenie w koalicji złożonej z sił politycznych, które wyrosły z „nas” i z „nich”. W Polsce po 15 latach od upadku komunizmu to jest jeszcze niemożliwe. I jeszcze jedno na koniec, paradoksalnie, dzięki temu, że ów podział „My” i „Oni”, był przekraczalny, że „Oni” to byli też trochę „My”, a „My”, trochę „Oni”, szczególnie w tym komunizmie starzejącym się, dzięki temu, że śladami tego podziału można ze sobą współżyć, choć on życie komplikuje.